

SARA WEBER

Złota brama

Miłość, zdrada i walka o szczęście
na bizantyjskim dworze



SARA WEBER

Złota brama



Copyright © 2026 by Sara Weber

Copyright for this edition © 2026 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Agnieszka Sabak

KOREKTA: Małgorzata Kłosowicz

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek

ZDJĘCIE AUTORKI: Archiwum prywatne Autorki

WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8412-504-5

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-505-2

ISBN ABONAMENT: 978-83-8412-506-9

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotował Jan Żaborowski

SPIS TREŚCI

OKŁADKA

KARTA TYTUŁOWA

KARTA REDAKCYJNA

1. ŹRÓDŁO

2. MARMUROWE SCHODY

3. MIASTO BOGA

4. KRĘTE ŚCIEŻKI

5. KROPLA DRAŻY SKAŁĘ

6. ROZKAZ

7. JEDWAB I PURPURA

8. NA ROZDROŻU

9. STARE SPRAWY

10. PIERWSZY RAZ

11. TĘSKNOTA

12. KSIEŻYCOWE NOCE

13. CIENIE NA ŚCIANIE

14. ŚLEPY ZAUŁEK

15. ZWYCIĘŻAJ ALBO GIŃ

16. GŁUPIEC, NIE ŚLEPIEC

17. WILCZE OCZY

18. BOŻA ŁASKA

19. ZŁOTA MONETA

20. HEKTOR

21. KRWAWY ŁZY
22. OSTATNIA SZANSA
23. BICIE SERCA
24. KONIEC I POCZĄTEK
25. ZŁE POWIETRZE

ŹRÓDŁO

Mówią, że wspomnienia są jak kamienie w rzece. Na początku ostre, pełne niedoskonałości, z upływem czasu oraz siłą prądów zmieniają się w idealnie okrągłe, gładkie, pokryte mchem, jakby woda wybaczyła im wszystkie nierówności i niedopasowanie do kamienistego dna.

Niewiele pamiętam z dzieciństwa. Za każdym razem, kiedy zamykałam oczy przed snem, widziałam naszą chatę. Wyglądała całkiem zwyczajnie. Nieduża izba, palenisko, przy nim sznury z suszącymi się cząbrem i dzikim czosnkiem. W jednym kącie siennik, gdzie spałam, a w drugim prosta ława, przy której jedliśmy. Na drewnianej półce nad głową matka poustawiała naczynia, kubki i okrągłą, zniszczoną misę. Duża, szeroka amfora z oliwą stała w kącie przy drzwiach. Zamrugałam kilka razy, żeby przypomnieć sobie szczegóły, a potem otarłam łzę z policzka. Szczerbate ucho z ciemnoczerwonej gliny. Kiedyś potrąciłam cenne naczynie; przewróciło się, gęsty płyn wypłynął na ziemię, a ja dostałam za to srogie lanie.

Odgłosy naszego życia znałam doskonale, uczyłam się ich przecież od niemowlęcia. Szybki, energiczny chód matki, szuranie bosych stóp ojca, trzask drewnianego wiadra z wodą, ciche kwilenie młodszego z braci, Nikosa. Był różowym bobasem z okrągłą głową i płaskim noskiem, zawiniętym w szare, zniszczone pieluszki, odziedziczone zapewne po mnie albo innym dziecięciu. Pachniał słodko. Kiedy matka karmiła go piersią, zaciśnięte rączki rozluźniały się, a ja podziwiałam drobne, delikatne

paluszki. Siadałam w nogach matki, przytulając się do niej niczym wierny pies i głaskając szczupłe, umięśnione łydki rodzicielki.

W gorące dni, których w wiosce, gdzie mieszkaliśmy, nie brakowało, zbiegałam do niewielkiego strumienia znajdującego się za naszym domostwem. Bose, brudne od kurzu i ziemi stopy zanurzałam w przyjemnie chłodnym strumieniu. Parskałam przy tym tak głośno, że słyszała mnie chyba cała okolica. Nabierałam w dłonie krystalicznie czystą wodę, a potem zanurzałam w niej język jak kot, chłepcąc zachłannie i wypijając wszystko do ostatniej kropli. Wtedy całkowicie niespodziewanie zjawiał się starszy brat, Atenajos. Uciekałam przed nim, ale i tak za każdym razem z mojego grubego, ciemnego warkocza kapiała woda. Ojciec patrzył na nas, a my czym prędzej zmykaliśmy do chaty, do matki, która nęciła nas zapachami dochodzącymi na małe podwórko.

Jedliśmy niewiele, ale smaki mogły się równać z tymi na dworach możliwych tego świata. Niewielki zagon uprawiany przez ojca ledwo wystarczał, żebyśmy nie pomarli z głodu. Pamiętam, że w naszym ogródku rosły jasnozielone fenkuły o słodkawym smaku. Przyprawione świeżą bazylią czy koprem, wydawały mi się iście królewskim posiłkiem, mimo że były tylko jedzeniem dla biedoty. Podobnie kozi ser wyrabiany przez matkę starannie i przez kilka dni. A kiedy w końcu pozwolono nam skosztować tego smakołyku polanego domową oliwą, skakaliśmy z Atenajosem po całej chacie, jakbyśmy byli stadem dzikich zwierząt, a nie psotnym, wiecznie głodnym rodzeństwem. Nasze dwie kozy były już stare, a ojciec nie mógł się doczekać, aż dokończą żywota, bo wtedy w końcu zjedlibyśmy nieco mięsa. Nieraz głośno się zastanawiał, czym je doprawi i skąd weźmie tak długi pręt, żeby nadziać na niego całe zwierzę. Matka miała do nich odmienny stosunek, uważając, że kiedy zdechną, zostaniemy bez mleka i nasze brzuchy przyrosną do kręgosłupów. Atenajos głośno rozmyślał nad

tym, czy by nie ukraść kury sąsiadom, ale wzrok ojca skierowany na łożynowy kij szybko wybił mu z głowy ten głupi pomysł.

Powietrze pachniało suszonymi ziołami, słońcem, rozgrzaną ziemią latem wyschniętą na popiół. Ojciec nosił wodę w drewnianych wiadrach, bo kiedy jasna kula chowała się za horyzontem, próbował ratować omdlałe sadzonki warzyw na grządce pod samymi oknami chaty. Cykały świerszcze, które pod osłoną ciemnogrnatowej nocy brzmiały jak anielski chór, usypiając całą okolicę. Zakradałam się po cichu do chaty, bo matka najpierw usypiała Nikosa. Malec pożerał mleko z pełnej piersi mamy, a kiedy zasnął, szykowaliśmy się do spania i my z Atenajosem. Dobrze znałam ten rytuał. Zmęczona po całym dniu zabawy, zasypiałam niemal na stojąco. W ciszy jedliśmy trochę chleba, który przepijaliśmy kubkiem koziego mleka, po czym wskakiwaliśmy na sienniki i nakrywaliśmy się po czubek głowy starym kocem. Mama spała ze mną, a Atenajos z ojcem w drugim kącie izby. Wtulałam się w jej pachnące mlekiem piersi, kuląc się i przytulając zachłannie. Nie mogłam się nacieszyć tymi wieczornymi pieszczotami. Ona całowała moje czesane wiatrem włosy, odgarniając kosmyki za ucho, szeptała moje imię po stokroć. Modliła się tylko sobie znanymi słowami, a ja po kilku chwilach zasypiałam trochę głodna, ale ze wszech miar szczęśliwa.

Niewiele pamiętam z dnia, kiedy ruszyłam do stolicy. Jeden z bogatych sąsiadów poprosił ojca, żeby za kilka solidów udał się na przedmieścia na lokalny targ i sprzedał za niego owoce i warzywa, a on się zgodził, licząc na łatwy i szybki zysk. To chyba był zwykły dzień, no poza tym, że Atenajos źle się czuł, bolał go brzuch i wymiotował. Koniecznie chciał jechać, ale matka mu nie pozwoliła. Nakazała ojcu wziąć tylko mnie, bo jako ruchliwe dziecko nieustannie zajmowałam jej uwagę. Chciała zrobić wielkie pranie, korzystając z nadarzającej się okazji. Uśmiechnięta od ucha do ucha

usiadłam na wozie, wygładziłam zbyt krótką sukienkę, założyłam opadający kosmyk włosów za ucho, pomachałam mamie na do widzenia, a potem ruszyliśmy w długą drogę.

Usiadłam obok ojca, który z szarej, zniszczonej derki wymościł mi wygodne posłanie. Wyruszyliśmy wcześniej rano, chyba jeszcze nawet w nocy, a może świtało? Nie pamiętam, czy wzięliśmy coś do jedzenia, ale chyba nie, bo burczało mi w brzuchu. Ruszyliśmy powoli, matka pożegnała nas znakiem krzyża i chwilę później po raz pierwszy w życiu opuściłam rodzinną wioskę.

– Cieszysz się? – zapytał ojciec.

– Tak, zwłaszcza że ciągnie nas Ischiros – potaknęłam głową.

– Jest silny, zawiezie nas i cały wóz na targ do stolicy – odparł, klepiąc szarego, zadbanego osła.

– Lubię go. – Wskazałam paluszkami na łeb zwierzęcia, które poruszyło uszami w śmieszny dla mnie sposób. Zapamiętałam, że z tyłu na zadzie miał niewielką, jaśniejszą plamkę sierści.

– Dostałem już trochę pieniędzy od Kleofasa. Myślisz, że matka się ucieszy, jeśli przywieziemy jej kilka kur? – Mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Tak! – krzyknęłam, a potem objęłam go, tuląc się ufnie do jego spranej, zniszczonej koszuli. Słowo „jajka” brzmiało smakowicie. Znów zaburczało mi w brzuchu.

– W takim razie będzie niespodzianka. Może uda się kupić kwokę? – zastanawiał się głośno, żując kawałek zielonej trawy. – Wrócimy na wieczór, o ile szybko pozbędziemy się naszego ładunku. Niech Bóg da nam bezpieczną podróż!

Wóz, wypełniony owocami i zbożem w płóciennych workach, ruszył z wolna. Za nami unosił się kurz, bo ziemia była sucha i nagrzana letnim

słońcem. Na dobre zniknął nasz dom, dziwnie odległy dla małej dziewczynki, którą byłam. Tymczasem mnie coraz bardziej kleiły się oczy, a wóz kołysał się i podskakiwał na nierównościach polnej drogi, którą podróżowaliśmy. Monotonny krajobraz pól i gajów oliwnych przerywały co jakiś czas niskie chaty, podobne do naszych. Minęliśmy jednego czy dwóch mężczyzn na koniach, ale nie przyglądałam się im zbyt uważnie. Miarowy stukot drewnianych kół sprawił, że usnęłam, zwinięta w kłębek na derce obok ojca.

Obudziły mnie obce głosy. Nie wiem, jak długo jechaliśmy, zupełnie straciłam poczucie upływającego czasu. Wyrwana ze snu, czułam, jak szybko bije mi serce. Usiadłam prosto, czując obok siebie ciepło bijące od taty. Oblizалам spierzchnięte usta.

– Schowaj się na wóz – syknął ojciec.

Posłusznie ruszyłam między melony, arbuzy i worki z ziarnem. Z oddali z jakichś zarośli wyszło kilku wysokich, potężnych mężczyzn. Zadrżałam, kiedy podeszli bliżej.

– Daj solida, a będziesz mógł przejechać. – Przed grupkę wysunął się najwyższy z nich, ubrany w podarte spodnie.

– Tym traktem może się przemieszczać każdy, bez wyjątku – odparł głośno i wyraźnie ojciec.

– Nigdy cię tu nie widzieliśmy – syknął drugi, z blizną na pół twarzy.

– Pozwólcie mi przejechać, jestem dobrym chrześcijaninem – odparł ojciec, a potem posłusznie rzucił jednemu z nich niewielką monetę. – Odejdźcie, proszę.

– Co to za czasy nadeszły, że ci biedni chłopcy nie mają solida przy duszy. – Mężczyzna z blizną wykrzywił się złośliwie, oglądając nieufnie pieniądze, a potem zacisnął usta w wąską kreskę.

– Uciekaj, córeczko – wyszeptał tata, a ja nie mogłam się ruszyć, bo paraliżował mnie strach. Przywarłam do pleców rodzica, oblanych zimnym potem.

Podchodzili coraz bliżej, śledziłam każdy ich krok. W końcu jeden z nich, ten z blizną, stanął obok wozu, chwycił ojca za ubranie, po czym zaczęli się szamotać. Wszystko działo się tak szybko, że jedyne, co mogłam zrobić, to uskoczyć na tył wozu. Zrobiło się zamieszanie. Tumany kurzu wzbiły się w powietrze. Zeskoczyłam z arbuzów, a kilka z nich upadłszy, roztrzaskało jasnoróżowe wnętrza o twardą ziemię. Przewróciłam się na kolana, płacząc głośno. Odruchowo się odwróciłam i zobaczyłam, że ojciec upada głową na kamienie, a rabusie rozbiegają się nie wiadomo dokąd. Po chwili nie było po nich śladu.

– Tato! – krzyknęłam, a potem podbiegłam do niego. Kolana krwawiły mi obficie, zdarta skóra paliła żywym ogniem.

Nie wiedziałam, co mam robić, biec po pomoc czy raczej zostać z ojcem? Nie miałam pojęcia, gdzie znajdują się najbliższe chaty. Płakałam głośno, a łzy jak grochy płynęły po brudnych policzkach. Serce tłukło się w mojej małej piersi niczym uwięziony ptaszek. Trzymałam głowę taty na swoich kolanach, gładząc go po twarzy. Zamknął oczy, a z ust wypływała mu krew zmieszana ze śliną. Serce chciało mi wyskoczyć z piersi, nie wiedziałam, co się tak naprawdę stało. Cały czas lekko nim potrząsałam, żeby się obudził, ale nie odpowiadał na moje wołania. W końcu położyłam jego głowę na derce, bo nie dałam rady dłużej jej trzymać. Siedziałam obok, objąwszy dłońmi brudne nogi.

Nie wiem, jak długo to trwało, straciłam rachubę czasu. Na to wszystko nadjechało trzech zbrojnych na dorodnych, potężnych ogierach. Chciałam krzyczeć o pomoc, ale z moich ust wydobył się tylko jęk. Dwóch

zeskoczyło z koni i szło żwawym krokiem w moją stronę. Wyglądali groźnie. Na głowach mieli hełmy, przy boku krótkie miecze.

– Potrzebujecie pomocy? – Jeden z mężczyzn podszedł tak blisko, że ujrzałam jego sandały i stopy pokryte piachem drogi. Kucnął obok mnie, a jego kolczuga zadzwoniła groźnie. – Dziecko drogie, daj, zobaczę, co się stało. To twój ojciec?

Kiwnęłam głową, bo tylko na tyle było mnie stać. Zatkany nos i spuchnięte od płaczu oczy skutecznie uniemożliwiały powiedzenie czegokolwiek. Bałam się, strach ścisnął mi gardło tak mocno, że niemal nie przełykałam śliny. Drobnymi rękami trzymałam się ubrania ojca. Bezradność nakazywała mi trwanie w tej dziwnej pozycji.

– Jestem Leo, nie bój się nas. – Wskazał ręką na towarzyszy. – Należymy do armii cesarza Justyna*. Pokój tobie.

Nieznajomy miał przyjemną twarz, a z oczu dobrze mu patrzyło. Nie mogłam ocenić jego wieku, ale chyba był młodszy od rodziców. Uklęknął przy nas, po czym zbliżył ucho do piersi ojca. Chwilę nasłuchiwał, potem przyłożył dłoń do ust leżącego. Chrząknął niepewnie, oglądając się na dwójkę pozostałych.

– Twój ojciec... nie żyje. Pochowamy go. – Leo patrzył mi prosto w twarz. – Zmówmy modlitwę.

Chwila ciągnęła się w nieskończoność. Mężczyźni szeptali coś pod nosem, ale niczego nie zrozumiałam.

– Jak się nazywacie? Gdzie mieszkaliście? Pamiętasz nazwę wsi? Odwiozę cię. – Żołnierz zdjął z ramion płaszcz, po czym przykrył ojca z szacunkiem. Wziął mnie za rękę, bo nie chciałam się ruszyć z miejsca. – Chodź. Usiądziemy w tamtym zagajniku, a nuż coś sobie przypomnisz. Oni pojedą do najbliższej wsi, może ktoś was rozpozna.

Żołnierz wziął mnie na ręce, bo nie dałam rady sama iść. Nieśmiało zarzuciłam mu rączki za szyję, bo czułam ciepło jego szerokiej piersi. Kolana bolały niemiłosiernie, kiedy tylko próbowałam zrobić parę kroków. Słońce grzało mocno, kręciło mi się w głowie. Niczego nie wiedziałam, czułam się z tym okropnie. Jakby cała ta sytuacja wymazała pamięć o rodzinie i miejscu, gdzie do tej pory żyłam.

Leo położył jakiś worek na ziemi; usiadłam na nim, wdzięczna za ten drobny gest. Podał mi wodę z bukłaka, dał kawałek żołnierskiego suchara. Smakował paskudnie, był twardy jak kamień.

– Poczekamy tutaj, aż Marek i Oros wrócą z krótkiej przejażdżki. Jedz, jesteś taka chudziutka. Daleko mieszkasz?

Nie odpowiedziałam, wpatrzona w miejsce, gdzie przykryty płaszczem leżał ojciec. Minuty wlokły się niemiłosiernie. Zamknęłam oczy na ułamek chwili. Musiałam usnąć, wyczerpana. Z oddali słyszałam ciche głosy żołnierzy. Nie rozróżniałam ich, wszystko mi się mieszało, byłam na granicy jawy i snu.

– Nikt jej nie zna, nie wiadomo, z jak daleka podróżowali.

– Niedobrze.

– Ona nic nie wie. Ile ma lat?

– Mała jest, wychudzona, może trzy albo cztery...

– Powiedziała coś...?

– Nie.

– Niemowa czy jak...

– W imię Boże trzeba jej udzielić pomocy.

– Zapłaciłem wieśniakom, pochowają go tu niedaleko za dwa nędzne solidy. Wezmą osła i to, co na wozie, w ramach rekompensaty. Podobno grasują tutaj jacyś lokalni złodzieje, straszą, ale nie mordują. Trzeba przekazać to odpowiednim władzom. Pewnie go napadli, szamotali się...

– On upadł na kamień, może uderzył się w głowę, jak spadał z wozu?

– Najwyraźniej.

– Co z małą?

– Zostawmy ją tu, na wsi. Oddamy chłopom.

– Zwariowałeś? Zaraz ją zhandlują na targu niewolników. Zostanie sprzedaną dziwką. Mało takich znasz?

– To nie moja sprawa.

– Marku, coś ci chodzi po głowie... Musimy jak najszybciej udać się do Miasta**, prefekt na nas czeka.

– Jest małą, bezbronną dziewczynką. Śliczną w dodatku. Widziałeś te piękne, niebieskie oczy, rzęsy, drobne dłonie?

– Czyżbyś się zakochał w dziecku, Leo?

– Do diaska, biorę ją ze sobą. Nie zostawię jej. Będę wracał za kilkanaście dni to rozpytam okolicznych mieszkańców o miejsce ich zamieszkania. To nie może być trudne. Wróci do rodziny. Zasięgnę języka tu i tam.

– Jak chcesz.

Po chwili poczułam lekki dotyk na policzku. Otworzyłam oczy szeroko, patrząc z przerażeniem przed siebie. Usiadłam natychmiast, wyprostowana, z piekącymi kolanami, które zdążyły pokryć się zaschniętą krwią. Gardło miałam ściśnięte.

– Jedziesz ze mną. – Leo wziął mnie na ręce, a potem ruszyliśmy konno w nieznanym mi kierunku.

Chwyciłam się jego karku, wtulając nos w zagłębienie szyi. Czułam się bezpieczna po tym, co się wydarzyło z ojcem, że ktoś się mną zaopiekował. Chciałam wrócić do mamy.

– Berenika. Mam na imię Berenika – wyszeptałam żołnierzowi do ucha,
bo nic innego nie byłam w stanie z siebie wydusić.

.....

* Justyn I – cesarz bizantyjski w latach 518–527, poprzednik Justyniana Wielkiego.

** Konstantynopol. Mieszkańcy używali słowa „Miasto” w odniesieniu do stolicy Bizancjum.

MARMUROWE SCHODY

Tuż przed zmrokiem dotarliśmy do Miasta otoczonego potężnymi murami. Leo powiedział, że wybudował je jeden z cesarzy, którego imienia nie zapamiętałam. Pierwszy raz ujrzałam też Złotą Bramę. To sprawiło, że moje serce zabiło mocniej. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś tak pięknego i majestatycznego! Promienie zachodzącego słońca odbijały się od złotych wrót, oślepiając wszystko dookoła swoim blaskiem. Trzy łuki ozdobione rzeźbami tak gęstymi, że trudno mi było je wszystkie zliczyć. Na ścianach znajdowały się jakieś rysunki, słyszałam, jak głośno wypowiadali się o nich mężczyźni w eleganckich szatach. Brama była niczym wejście do innego świata, tak odmiennego od tego, który znałam do tej pory.

Jechaliśmy wolno, coraz bardziej wtapiając się w tłum. Mimo słońca chowającego się za horyzont na ulicach panował gwar, przerywany co jakiś czas głośniejszymi okrzykami. Przytuliłam się mocniej do Leo, który podtrzymywał mnie ramieniem, żebym nie spadła z konia. Zmęczenie i trud ostatnich godzin mocno dawały o sobie znać. Przyglądałam się dokładnie człowiekowi, który pochował mojego ojca. Opalona twarz, mocny zarys szczęki, prosty, orli nos... Nie potrafiłam określić jego wieku, ale z pewnością był młodszy od moich rodziców. Wyprostowana sylwetka dodawała mu powagi oraz majestatu. Jak cień podążało za nami jego dwóch towarzyszy. Byli milczący i skupieni na obserwowaniu okolicy, dyskretnie zerkali na to, co się dzieje dookoła.

– Nigdy tu nie byłaś, Bereniko? – zapytał Leo.

Pokręciłam przecząco głową.

– Wjechaliśmy jedną z głównych ulic, skąd najkrócej do Świętego Pałacu. Tam będziesz bezpieczna. A teraz spójrz i naciesz oko pięknem tego świata, który Bóg stworzył rękami człowieka!

Posłusznie podniosłam wzrok, rozglądając się z coraz większym zainteresowaniem. Otaczały nas różnorodne budynki, jedne większe, drugie mniejsze. Domy bogatych i biedoty, mnóstwo świątyń, klasztorów, placów. Ubrania suszyły się na sznurkach rozciągniętych między niewysokimi drzewami. Przejeżdżaliśmy przez szeroką, zapełnioną niezliczoną ilością straganów ulicę. Drobnii sprzedawcy nawoływali do kupowania swoich towarów, zachwalając ich jakość oraz wyjątkowość. Na ziemi albo na prowizorycznych konstrukcjach z desek leżały bele materiałów, przyprawy, gliniane naczynia czy biżuteria chętnie oglądana przez kobiety w pięknych sukniach. Czego tam nie było! Zaświeciły mi się oczy, a mój wybawca nie omieszkał tego nie zauważyć.

– To Mese, jedna z najważniejszych arterii stolicy – wyjaśnił Leo. – Lubię tu przychodzić, ale trzeba uważać na sakiewkę. Uliczni rabusie mają tu żniwa o każdej porze roku. Na placu Konstantyna też trzeba mieć oczy szeroko otwarte. Zapamiętaj.

Rozglądałam się dalej, urzeczona widokiem, który sprawiał, że kręciło mi się w głowie, bynajmniej nie ze zmęczenia, a raczej z nadmiaru bodźców, które zewsząd mnie otaczały. Poczułam nieznośne burczenie w brzuchu. Tymczasem wjechaliśmy w jakąś boczną drogę oddalającą nas od gwaru targowiska.

– Jesteś pewien, że to dobry pomysł? – Obok pojawił się Marek, towarzysz Leo. Konie zrównały się, a mężczyźni spoglądali na siebie.

– Drogi przyjacielu, kilka dni u mojej matki jej nie zaszkodzi! – roześmiał się głośno Leo, aż jego głos odbił się echem po pustej ulicy. – Przecież ta dziewczynka jest tak chuda, że możesz policzyć na niej wszystkie żebra!

Mężczyźni umilkli, bo zbliżaliśmy się do potężnych budynków, które wydawały się sięgać ciemnego nieba. Później dowiedziałam się, że to hipodrom, gdzie odbywały się wyścigi rydwanów, zapasy i inne widowiska.

– Jesteśmy – oznajmił Leo, a potem zeskoczył z konia. Wziął mnie pod rękę i postawił na ziemi. – Tutaj czas płynie inaczej. Wielki Pałac. Dom cesarza. W jednej z pałacowych kuchni pracuje moja matka. Zapytam ją, czy nie zajęłaby się tobą przez parę dni. Poczekajcie tu na mnie, zaraz wrócę – zwrócił się do towarzyszy.

– Prefekt czeka – warknął Oros. – Mamy obowiązki.

– Dajcie mi kilka chwil.

Odeszliśmy od nich do jakiegoś bocznego budynku. Przechodziliśmy przez liczne korytarze, gdzie wszędzie kręcili się żołnierze, z którymi Leo witał się krótkim, żołnierskim pozdrowieniem. Byłam tak oszołomiona bogactwem, przepychem i wielkością pomieszczeń, że jedyne, na co mogłam sobie pozwolić, to podążanie za moim wybawcą i próba dotrzymania mu kroku.

– Jesteśmy – powiedział Leo, gwałtownie się zatrzymując, a potem kilka razy mocno uderzył w drewniane, solidne drzwi. – Otwórzcie, to ja!

Minęła chwila, nim odskoczył skobel, a zza wrót wyłoniła się szczupła, wysoka postać mężczyzny w szarej tunice. Podejrzliwie łypnął na nas wzrokiem.

– Czego? – Skrzekliwy głos sprawił, że miałam ciarki na całym ciele.

– Zawołaj moją matkę, Alexiosie.

Drzwi się zatrzasnęły, a my oczekiwaliśmy w ciszy. Usiadłam na marmurowych schodach, które prowadziły do pałacowej kuchni. Ukryłam głowę w ramionach i zaszlochałam. Leo kucnął obok mnie, pocieszając i głaskając po głowie. Zdałam sobie sprawę z tego, jaki los mnie czeka. Jedyne, czego pragnęłam, to wrócić na wieś, do naszej starej chaty. Przytulić się do matki... Łzy jak grochy leciały po moich policzkach.

– Synu?

– Mamo! – Młodzieniec rzucił się w ramiona niskiej, pulchnej kobiety, która otworzyła na oścież drewniane wrota.

– Myślałam, żeś popłynął do Aleksandrii.

– Przełożono nasz wyjazd, statki są opóźnione, wody niespokojne – mówił szybko. – To Berenika. Może tu zostać kilka dni, dopóki nie załatwię paru spraw dla prefekta? Potem ją zabiorę. Jej ojciec... nie żyje, a dziewczynka nie pamięta, jak się nazywa miejscowość, z której pochodzi. Rozpytam okolicznych mieszkańców, muszą coś wiedzieć. Ale teraz... bardzo się spieszę.

– Dobrze, dobrze, zajmę się nią, mój najdroższy synu. Będzie tu bezpieczna. Bóg nakazuje pomagać tym, którzy tej pomocy potrzebują.

– Alexiosa biorę na siebie – żołnierz uśmiechnął się szeroko.

– Wiem. – Mrugnęła porozumiewawczo. – Wracaj zdrów, Leo!

Krótki, przelotny pocałunek między matką a synem był tak przepełniony czułością, że znów zaczęłam płakać. Pożegnania zawsze są trudne.

– Z Valerią będziesz bezpieczna – rzucił Leo. – Do zobaczenia.

Sylwetka żołnierza zniknęła w ciemności, a echo kamiennych korytarzy jeszcze przez krótki czas niosło miarowy stukot sandałów młodzieńca. Zostałyśmy same. Wciąż siedziałam na marmurowych stopniach, czekając na dalszy rozwój sytuacji. Valeria stanęła obok, po czym lekkim ruchem

wzięła mnie na ręce. Objęłam ją rękami za szyję. Kobieta pachniała chlebem, była ciepła i miękka, inna od mojej mamy, ale nie bałam się. Ufnie wtuliłam nos w jej kark, licząc na to, że Leo szybko wróci. Ruszyliśmy przed siebie krętym labiryntem korytarzy.

Weszliśmy do spiżarni, gdzie w mgnieniu oka pochłonięłam miszkę gotowanej soczewicy. Burczenie w moim brzuchu ustało, za co byłam wdzięczna losowi.

– Zaprowadzę cię teraz do mnie, a potem przyniosę coś do jedzenia, na pewno będziesz głodna. – Valeria przytuliła mocno moje chude ciało. – Masz ochotę na ciepłe mleko ze świeżym chlebem? Piekłam dzisiaj rano.

Nic nie odpowiedziałam, tylko mruknęłam niewyraźnie, bo weszliśmy do ciemnego pomieszczenia, które okazało się niewielką izbą. Kobieta posadziła mnie na niskim stołku znajdującym się w kącie, a sama zapaliła oliwną lampkę. Cienie wirowały na ścianie.

– Zostań, zaraz wrócę – nakazała. – Tam jest miska z wodą, umyj się, proszę.

Valeria zniknęła, a ja rozejrzałam się dookoła. Proste łóżko, na nim wełniana kapa, a na ścianie naprzeciwko wejścia prosty, drewniany krzyż, podobny do tego, który pamiętałam z domu. Podłoga była pokryta różnymi wzorami z małych, kolorowych kosteczek, układających się w wymyślny wzór. Podeszłam do misy, obmyłam ręce i twarz. Od razu poczułam się lepiej. Obtarłam buzię niewielkim kawałkiem tkaniny. Chciałam umyć kolana, ale zabrakło mi odwagi. Ból chwilowo ustał, mimo brudu, który głęboko wniknął w rany.

Usłyszałam szuranie butów, po czym kobieta weszła do izby z dzbankiem mleka i kilkoma pajdami białego chleba. Usiadła na łóżku, po czym przywołała mnie gestem.

– Jedz, moja ślicznotko. Ukradłam z pałacowej kuchni, ale w dobrej wierze. Święci Apostołowie nie takim złoczyńcom wybaczali – uśmiechnęła się pod nosem.

Głód sprawił, że nie mogłam się dłużej powstrzymywać. Pochłonęłam to, co przygotowała mi Valeria. Nigdy nie jadłam tak wspaniałego posiłku, a pajdy jasnego pieczywa nie równały się z niczym, co kiedykolwiek miałam w ustach, no może poza wcześniej jedzoną soczewicą.

– Jestem kucharką w jednej z pałacowych kuchni. Mój syn, Leo, jest piechurem, ale teraz wypełnia rozkazy prefekta. To dobry chłopak, chciałabym, żeby już się ożenił, niestety jemu tylko wojaczka w głowie. Mąż zmarł wiele lat temu, a że dobrze gotowałam, to Alexios, mój kuzyn, wprowadził mnie do pałacu. To ciężka, ale dobra robota – Valerii nie zamykały się usta. – Pracuje tu wiele osób. Liczy się sumienność, dla leni nie ma miejsca.

– Dziękuję – odparłam, strzepując okruchy z chleba na podłogę.

– Masz na imię Berenika? – dopytała kobieta.

– Tak – potaknęłam głową.

– To imię świętej z Antiochii, więc twoi rodzice wierzą w Chrystusa. Ile masz lat? – Dociekała. – Pokażesz mi na paluszkach?

Nieśmiało wyciągnęłam dłoń.

– Pięć? – Kucharka podskoczyła na łóżku. – Dziecko drogie, jakaś ty wychudzona, myślałam, że ledwo skończyłaś trzy.

Valeria odłożyła naczynia na podłogę.

– Jutro będziemy się martwić, co z tobą zrobić. Na razie idziemy spać. Padam z nóg, upiekłam tyle chleba, że ręce odmawiają mi posłuszeństwa. Niech Bóg ma nas w opiece!

Kobieta szybko zdjęła z siebie fartuch oraz ubranie. Obmyła dłonie i twarz, opatrzyła dokładnie rany na moich kolanach, po czym narzuciła

cienką tunikę do spania.

– Chodź – objęła mnie, mocno całując. – Połóż się obok, szybciej uśniesz.

Zdjęłam brudne sandały i wsunęłam się pod kapę obok Valerii. Była ciepła, bił od niej spokój. Czułam się bezpieczna, więc ufnie wtuliłam się w jej duży biust pachnący chlebem i usnęłam, nim oliwna lampka zdążyła się wypalić.

Ranek nadszedł szybko. Valeria delikatnie dotknęła mojego ramienia, próbując mnie obudzić. Przeciągnęłam się, po czym usiadłam, rozglądając się dookoła. W izbie wciąż panowała ciemność, nie wiedziałam, czy jest noc, czy może następny dzień. Drżałam, wybita z głębokiego snu.

– Muszę wyjść, trzeba pracować na chwałę Bożą – powiedziała szybko, po czym klęknęła do modlitwy, pociągając mnie ze sobą.

Syknęłam z bólu, kiedy zimna posadzka spotkała się z poranionymi kolanami. Cierpienie fizyczne sprawiło, że zamiast prosić o łaskę Bożą zaczęłam głośno płakać. Valeria mocno przytuliła moje chude ciało.

– Już, już, pokaż, co się stało.

Usiadłam na łóżku, a sprawne ręce kucharki badały zaschnięte strupy.

– Nie wygląda to najlepiej. Trzeba odmoczyć, jakimś ziołowym naparem najlepiej. Musimy cię wykąpać w łaźni, poszukać jakiejś sukienki, bo ten łach nie nadaje się nawet do wycierania podłogi. Biedaczyna.

Zagryzłam zęby, żeby nie dać po sobie poznać tego, że ubodły mnie słowa kucharki. Litość w jej głosie sprawiła, że poczułam złość. Kiedy wyszliśmy z izby, wszystko potoczyło się w szybkim tempie. Valeria wzięła mnie do łaźni, wyszorowała, natarła pachnącym olejkiem. Jakaś młoda dziewczyna opatrzyła poranione kolana, smarując czymś tłustym, a potem zawijając jasnymi płótnami. Poczułam się jak nowo narodzona, na

chwilę zapominając o wcześniejszych wydarzeniach. W końcu ktoś przyniósł mi sukienkę, nieco za dużą, ale i tak była o wiele lepsza niż ta, którą zdjęłam rano do kąpieli. Pachniała kwiatami, kiedy wkładałam ją przez głowę.

– Dobrze, a teraz chodź ze mną do kuchni, Alexios zapewne pogrozi mi śmiercią za to spóźnienie. – Mrugnęła do mnie.

Niemal biegłyśmy pałacowymi korytarzami. Kobieta mimo sporej tuszy poruszała się z niesamowitą lekkością. Pędziła przed siebie. Mimochodem rozglądałam się na boki. Wszędzie kręcili się ludzie, w większości mężczyźni. Chciałam zapytać o to matkę Leo, ale stwierdziłam, że nie wypada. Ryzykowała posadę, opiekując się mną.

Dotarliśmy pod drewniane wrota i marmurowe schody, na których wczoraj siedziałam. Valeria otworzyła je sprawnym ruchem, po czym niemal wepchnęła do środka, zamykając za mną z hukiem.

Moim oczom ukazał się niesamowity widok. Duże, widne pomieszczenie z niezliczoną ilością warzyw i owoców zgromadzoną wokół drewnianego stołu. Pod każdą ze ścian stały wiklinowe kosze, a w każdym z nich ogromne ilości marchwi, kapusty i zboże. W kącie stał duży piec chlebowy, a z jego wnętrza drobna kobieca postać wyciągała intensywnie pachnące pieczywo. Do ścian przybito wiele gwoździ, na których suszyły się zioła, wieńce cebuli i czosnku. W niewielkich koszykach leżały jajka przełożone sianem. Na środku, na stole, mnóstwo ryb. Wciągnęłam nosem zapachy rozchodzące się po pałacowej kuchni. Burczący brzuch przypomniał mi, że od rana nic nie jadłam. Nie dałam jednak po sobie niczego poznać.

– Zabieraj się do pracy, Valerio – syknął mężczyzna, który wczoraj wieczorem otworzył nam drzwi. – Ryba czeka, a ty się płaczesz po całym pałacu z tą znajdą. Do jutra ma jej tu nie być, kuchnia to nie miejsce dla

takich jak ona. Jak się zarządca dowie, to... – Przejechał wskazującym palcem po szyi.

– Nie mów mi, co mam robić, stary głupcze – prychnęła kobieta, lekko popychając mnie przed siebie. – Ma na imię Berenika, jest pod moją opieką. W zamian za jedzenie i nocleg pomoże trochę. Ma pięć lat. Umie wykonać proste prace, tak? – Valeria mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

Kiwnęłam potakująco głową, bo tego ode mnie oczekiwano.

– Usiądźże w kącie, dam ci coś do jedzenia – nakazała tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Despina, ruszaj się, przynieś jej chleb i ser, coś powinno zostać z wczoraj.

Kucharka wskazała mi mały stołeczek obok worka z ziarnem. Czekałam cierpliwie, aż w końcu niewysoka, zwinna dziewczyna podała mi posiłek. Jadłam w milczeniu, obserwując to, co się dzieje w kuchni.

Wszyscy uwijali się jak mrówki, nikt wiele nie mówił, każdy dokładnie wiedział, co należy zrobić. Valeria stanęła przy dużym stole, zawiązała w pasie czysty fartuch, po czym zaczęła długo i solidnie ostrzyć nóż, którym potem wypatroszyła rybę tak, że nawet Alexios cmoknął zadowolony.

– Bonito. – Wziął do ręki kawałek mięsa i zamachał mi pod nosem. – Trochę podobna do tuńczyka, ale smaczniejsza. Łowimy ją w okolicznych wodach. Zapamiętasz?

Kiwnęłam głową, chociaż, szczerze mówiąc, nie pamiętałam smaku żadnej ryby, którą jadłam do tej pory. Alexios odszedł, kulejąc. Był wysoki, szczupły, a długie włosy spiął z tyłu głowy. Miał silne, umięśnione dłonie, zupełnie niepasujące do jego cherlawej postury. Stanął obok Valerii i pomógł jej przy ościach. Kiedy skończyli, wziął kosz z cebulami. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś kroił z taką szybkością. Nóż gładko przecinał warstwy, nadając im kształt półksiężyców. Przełknęłam ślinę. Kilka dni,

uśmiechnęłam się pod nosem. Leo wróci, odnajdzie moją rodzinę. A ja na zawsze zapamiętam zapach chleba z cesarskiego pałacu.

Dalsza część w wersji pełnej

Spis treści

OKŁADKA

KARTA TYTUŁOWA

KARTA REDAKCYJNA

SPIS TREŚCI

1. ŹRÓDŁO

2. MARMUROWE SCHODY